

Jak wyglądały IGRZYSKA OLIMPIADY W STAROŻYTNOŚCI

Igrzyska olimpijskie powstały w starożytności jako impreza o charakterze religijnym, związana z kultem Zeusa. Miała ona za cel nie tylko odda-

Uczynimy retrospektywny skok w czasie. Widzimy, jak młodzieńcy greccy zaprawiają się od wczesnej młodości w ćwiczeniach, które przeprowadzali w tzw. gimnazjach zupełnie nago, aby nie nie kępowało ich ruchów i aby swobodnie można było obserwować rozwój ciała. Ćwiczyli ich gimnazjaści (od słowa greck. gimnasia), którzy dawali swym uczniom instrukcje i wyrabiali w nich zdrową chęć współzawodnictwa.

Greki nie byli nigdy romantykami, ale rozkochani w życiu, dążyli konsekwentnie do podniesienia standardu życiowego. Ćwiczyli swoje ciała, bo w ten sposób uważali to za środek do osiągnięcia lepszych form życia, a przy tym odczuwali jeszcze czyste sensualne zadowolenie z poczucia własnej siły fizycznej i zręczności. Kiedy zaś nadszedł czas igrzysk, które odbywały się zwykle co cztery lata i rozpoczynały się po pierwszej pełni księżyca w miesiącu Hekatombajonie (czerwiec-lipiec), ze wszystkich okolic Grecji ściągali do Olimpii późnawodnicy. Każdy Grek wolno urodzony o nieposzlakowanej przeszłości miał prawo wziąć udział w zawodach (później siłą rzeczy dopuszczono także Rzymian). Obcokrajowcy byli wykluczeni z zawodów. Wokół miejsca igrzysk rozciągało się morze namiotów. Cała okolica tętniła życiem. Kupcy przywozili tu swoje towary i polecali je podróżnym. W Altis — Świętym gaju Zeusa, z okazji tej wielkiej uroczystości przygotowane było składanie ofiar. Specjalni do tego celu młodzieńcy, którzy musieli posiadać jeszcze oboje rodziców żyjących, obcinali z drzew poświęcone gałązki dzikiej oliwki, które miały służyć jako naroda zwycięstwa. Oprócz kapłanki

ciągnąć nagle do tyłu, co pozwalało osiągnąć lepsze wyniki.

Niektóre wyniki dochowały się do naszych czasów. I tak znany jest nam skok w dal niejakiego Phayllosa, który osiągnął nieprawdopodobny dla nas wynik 16,31 m. Można by wytłumaczyć go trójstopniem. Ten sam Phayllos rzucił dyskiem na odległość 28,17 m. Był to w owym czasie rzut rekordowy, zważywszy że dysk grecki był dużo cięższy od naszego. Rzut oszczepem był ważnym sportem dla Greków jako przysposobienie do walki. Zwycięzcy w niektórych okolicach Grecji otrzymywali w nagrodę hełm.

Czwarty dzień igrzysk stanowił punkt kulminacyjny całego programu. W tym dniu składano uroczystą ofiarę Zeusowi stu byków tzw. hekatombę. Hellanodiki ubrani w purpurowe szaty oraz zawodnicy starsi i młodszy uczestniczyli w procesji. Muzykanci przygrywali na fletach i gitarach, za nimi postępowały poselstwa z miast greckich niosące kosztowne dary. Wieczorem odbywała się uczta ofiarna.

Piątego dnia zawodów urządzono zapasy, walkę na pięści i bieg hoplitów w czasach starszych z tarczami w ręku, w hełmie i nagoleniach, a od V wieku już tylko z tarczami.

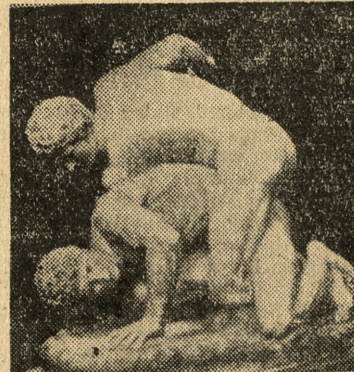
Po zakończeniu igrzysk, zwycięzcy kolejno wstępowały na stopnie świątyni i przewiązywali sobie skroń opaską, a następnie otrzymywali na głowę wieniec z gałązek oliwnych z rąk Hellanodików zajmujących miejsce u stóp posągu Zeusa. Chóry i muzyka wykonywali pieśń na cześć zwycięzców, a procesja składała ofiary dziękczynne Zeusowi na ołtarzach w gaju oliwnym i na wzgórzu Kronosa. Zdobycie wienca było wielkim zaszczytem dla zawodnika. Jego posąg miał prawo stać w świątym gaju. Miasto zaś witało swojego zwycięzcę z ogromnym przepychem. Jak podaje Vitruwius, mieszkańcy jednego z miast rozbili mur na przyjęcie zwycięzcy, ażeby zaznaczyć, że mając takiego syna, nie potrzebują już murów obronnych.

Przed świątynią odbywały się zwykle ceremonie na jego cześć, a ludność obсыpywała go kwiatami.

Zwycięzca w igrzyskach olimpijskich nie miał prawa korzystać ze swoich zdolności sportowych zawodowo, natomiast miał prawo do jądania w ratuszu oraz otrzymywał 500 drachm. w Atenach od czasów Solona.

W igrzyskach olimpijskich brali udział nie tylko sportowcy. Tu również gromadzili się najwybitniejsi przedstawiciele kultury greckiej. Tu czytał kiedyś Herodot ustępy z swych dzieł Grecji, tu mowca i filozof Gorgiesz w słynnej mowie „Olimpikos” zaklinał Greków, by poniechawszy walki między sobą, połączonymi siłami wystąpili przeciw Persom.

Olimpia była miejscem skąd duch kultury antycznej promieniował na cały świat ówczesny i po wiekach jeszcze wywierał silny wpływ na kształtowanie się naszej cywilizacji. Odno-



Zapaśnicy na igrzyskach olimpijskich (rzeźba hellenistyczna, Florencia, Galleria degli Uffizi)

wienie tradycji olimpijskiej jest jednym tylko z dowodów, jak wielką siłą żywotną posiada ideologia świata antycznego. Nawet w tych dziedzinach życia, które na pozór nie mają nic wspólnego z antykiem, wywarł on swoje piękno. Każdy okres naszej cywilizacji przyswajał sobie antyk w właściwy sobie sposób. Nawet romantyzm daleki od klasycyzmu wzorował się często na antyku.

Dzisiaj w epoce zamętu i chaosu socjologicznego zniósł antyk i wprowadzenie jego założeń ideologicznych do życia społecznego i kulturalnego jest rzeczą niezbędną. Antyk jest nieodzowny w życiu prywatnym i w życiu publicznym. Antyk wiecznie młody i wiecznie aktualny.

Zbigniew Musiał

*) którą później usuwali z ciała razem z kurzem, za pomocą specjalnych skrobaczek.



Do dnia dzisiejszego przetrwała tradycja przenoszenia ognia z Olimpu na stadion igrzysk. Oto goniec z płonącą pochodnią wbiega na arenę.

nie w ten sposób czci najważniejszemu bóstwu Grecji ale i szerzenie kultury fizycznej i duchowej w narodzie greckim oraz wyrabianie przez to zdrowych fizycznie i moralnie jednostek społeczeństwa. Jak wielką wagę starożytni przykładali do igrzysk olimpijskich świadczy fakt, że czteroletni okres pomiędzy jednymi a drugimi igrzyskami tzw. olimpiadę przejęli jako swoją jednostkę czasu i pojedynczym olimpiadom nadawali nazwę od imienia zwycięzcy w biegu prostym, najstarszym rodzaju wścigów olimpijskich.

Pierwsze igrzyska, od których poczęli liczyć Grecy, były te, w których zwyciężył Korobos a odbyły się w roku 776 przed Chr. Igrzyska same były jednak znacznie starsze. Historia ich powstania sięga jeszcze czasów mitycznych i wiąże się z imieniem Heraklesa. Trwały one aż do roku 393 ery chrześcijańskiej, zniósł je zaś cesarz Teodozjusz I. W tym czasie odbyło się ogółem 293 igrzysk. Po długiej przerwie, w której antyk przeżywał swój kryzys i renesans, idea igrzysk odżyła na nowo wskrzeszona przez archeologa francuskiego Piotra de Conbertin w roku 1896.

Pierwsze igrzyska nowożytnie odbyły się w Atenach, następne w Paryżu, w St. Louis, w 1908 roku zaś w Londynie. I oto znowu Londynowi przypadł zaszczyt organizacji olimpiady w tym roku.

Zaden naród nie rozumiał tak potrzeb ciała i ducha ludzkiego, jak właśnie Grecy — ci cudowni znawcy natury ludzkiej. Nie było wtedy maszyn, które by mogły zwrócić na siebie główną uwagę; najważniejszym obiektem zainteresowania był zatem człowiek. Dzisiaj kiedy coraz większą uwagę zwraca się na produkt zbiorowej pracy człowieka i środki produkcji, sam człowiek niknie w cieniu. Środki przerażają często cele, do których one prowadzą. I tak wyniki sportowe są dzisiaj rzeczą ważniejszą od tego, co one człowiekowi dają. Wspaniała, boska harmonia pomiędzy ciałem, a duszą zetraca się coraz bardziej.



Zwycięzca w igrzyskach olimpijskich udekorowany był czerwonymi szarłatami (wedl. „Compte-Rendu de la Com. Imp. Archeol. pour l'année 1874")

Świat

Ilustrowany dodatek tygodniowy

Nr 33 Głosu Wielkopolskiego

ROMAN SADOWSKI

Wiersze olimpijskie

Utwory (wybór) odznaczone II nagrodą na polskim konkursie sztuki przed Olimpiadą w Londynie

Początek igrzysk

Powtarzam nocy, która biegnie.
Powtarzam ciszy, która nad nią
w bieg maratoński zastuchana —
oto jest świata mego stadion.

Oto jest świata mego stadion,
oto są świata mego tropy,
na których nie ma ni zwierzęcej,
ani też ludzkiej złości stopy.

Pod trybuną wszystkich wzruszeń,
gdzie słońce pali swe ogniska
unoszę biel gołębią w górę:
rozpoczynają się igrzyska.

Rzut oszczepem

Po raz ostatni dziś ujmuję,
po raz ostatni ważę w dłoń,
nie będę więcej brał do ręki
tej, która śmierć zadaje, broni.

Po raz ostatni czar pokusy
kładę troskliwie wzdłuż ramienia
i mierzę ostrzem w serce nieba —
słońcem rzeźbiony blok z kamienia.

Cisza mi bije wielkie brawo,
stopy podrywa kruchym cieniem,
biegnę — wyrzucam oszczep
z piersi —
by jak najdalej był ode mnie.



Skok w dal. — Rys. z wazy greckiej (wedl. F. Mezö „Gesch. d. olymp. Spiele“)

1500 metrów

Zbiegliście się dziś na trybuny
by w usta biorąc pomarańcze
wypływać z warg podziwu pestki,
że tak przed wami lekko tańczę.
Ze ziemi ledwie trącam stopa,
Melodią płynę w miękim ruchu,
jakbym w tej chwili o dywanie
zaczarowanym bajki słuchał...

A to nieprawda. Któż z was teraz,
gryzących wonny miąższ owoców,
może zrozumieć smak popiołu,
gdy wystrzelony z wichru procy
wbija się w gardło, serce dławia,
mięśnie do bólu w pędzie zdziera,
zgrzyta wysiłkiem w każdym stawie
wtłoczony w biegu mego kierat
i rwie, rwie trasy mojej metry,
sekund oddechy, kroki skraca,
myśli rozpruwa straszną pustką —
oto już tracę — ciągle — tracę —

Zbiegliście się dziś na trybuny,
by w usta biorąc pomarańcze
wypływać z warg podziwu pestki,
że tak przed wami lekko tańczę...
A to nieprawda, to nieprawda!
W oczach tężeje słowo — klęska —
Widzę was — już — schodzicie z trybun,
po rozrzuconych depcząc pestkach...

Skok z trampoliny

Ptak, jeśli kiedyś na gałęzi
kołysał skrzydłem szum swobody,
tak samo lekki był, jak teraz
ja, patrząc w obłok, w którym woda
jest nierozbitym moim lustrem.
Chociaż mam z brązu tors i uda,
kolumny greckiej cień na twarzy
na trampolinie mojej liściu
jestem westchnieniem, tyle ważę,
ile obrazu mego echo.
Jestem już lżejszy od powietrza,
wznoszę się w górę złotą strzałą,
chwile się waham w zadziwieniu,
zatacam luk promieniem ciała,
potem wiruję błyskiem salta,
pragnę uchwycić spośród lotu
siebie samego — i rozbijam
lustro oparte na obłoku.



O drogach i bezdrożach teatru świetlicowego

Wrażenia i wnioski z tegorocznych eliminacji finałowych Ogólnopolskiego Konkursu Zespołów Świetlicowych nie mogą być obojętne dla licznych kół dramatycznych w wielkopolskich fabrykach i zakładach pracy, pracujących wytrwale i z wielkim poświęceniem amatorów-robotników i kroczących mimo to jeszcze często po bezdrożach sztuki.

Dorobek ogólnopolskiego konkursu wykazał jedno: bezpowrotnie zniknęły z desek teatrów świetlicowych Związków Zawodowych różne „Panny rekrutem”, rozmaite najsroższych kar godne warianty „Poślubnych przygód i podróży”, a także wszystkie pozabawione cienia wartości literackich propagandowe jednoaktówki, wzbudzające w efekcie nie tylko odrazę do teatru, ale i do szerzonych idei. Ukończony pierwszy etap eliminacji okazał się stosem płonącym jasnym ogniem, w którym spaliła się cała beznadziejność repertuarowa dotychczasowych naszych teatrów amatorskich, w którym wykrystalizowały się nowe pozycje repertuaru: doskonałe literacko i wartościowo społecznie.

Słowacki, Fredro i Szaniawski, Czechow, Aragon, Heyermans i Priestley, Zeromski, Sienkiewicz, Prus, Strug, Szymonowicz i Konopnicka — to nazwiska, które w ciągu ubiegłego roku zdobyły sobie i udowodniły prawo obywatelskie na świetlicowej scenie. I tutaj musiało się widowni nieodparcie nasunąć wrażenie, o którym nie wolno zapomnieć działaczom kulturalnym. Najcenniejszymi i najcelowszymi ze względów ogólnych okazały się zresztą zbudowane inscenizacje zapoznające w sposób plastyczny robotniczą widownię z udratyzowanymi wyjątkami polskich noweli i powieści. Szkoda tylko, że celowości takich inscenizacji nie mogą poprzeć cyfrą (wierzę, że imponująca) widzów, którzy po obejrzeniu spektakli sięgnęli do oryginałów, stając się może stałymi gośćmi bibliotek i czytelnikami.

Poznań reprezentowały dwa zespoły. Oba ciepło przyjęte przez warszawską widownię, doborem repertuaru stanęły na poziomie tylko przeciętnym. Pełnowskiego „Droga do świtu” — to dramat na drogim tle Powstania Warszawskiego, dramat o słabym gatunku literackim w wachlarzu wystawianych sztuk, reprezentujący pozycję malującą fragment wznagła Narodu Polskiego z okupantem. „Posażna Jędynaczka” drugi reprezentant Ziemi Wielkopolskiej — jest utworem komediowym Jana Aleksandra Fredry, syna wielkiego Aleksandra, po którym niestety autor „Posażnej Jędynaczki” nie odziedziczył ani talentu, ani dowcipu. Zespoły poznańskie dały dowody uczciwej pracy i talentu poszczególnych wykonawców. — Jeden z nich mógłby na pewno stanąć na poziomie zespołu, który niezrównanie wystawił Heyermansa „Nadzieję”, a drugi współzawodniczył zwycięsko z

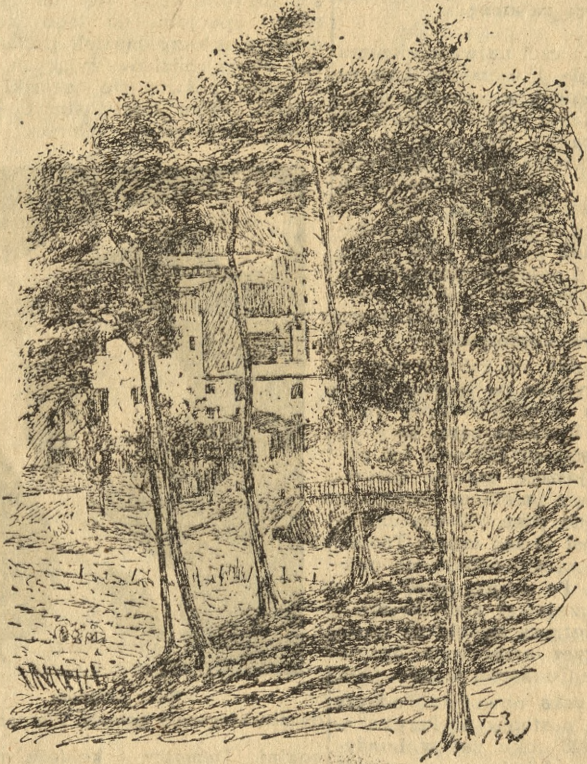
zespołem, inscenizującym „Janka Muzykanta”, z zespołem, dającym aktualny wykład propagandowy w sprawie skrajnej się brylantami doskonałego, o dobrym smaku humoru i samorodnej sztuce pod tyt. „Gospodarz to ja” — czy wreszcie z zespołami dającymi pięknie zawierające elementy natury politycznej i społecznej, montaż jak „Manifesty”, „Kolejarz w walce i odbudowie” itd.

Montaż jako praca najczęściej samorodna to druga droga, po której winny kroczyć w przyszłości ambitniejsze zespoły. W żadnym wypadku nie chciałbym sugerować zespołom, a przede wszystkim ich kierownikom ambicji literackich i namawiać ich do pisania samorodnych utworów. O utwory dla scen świetlicowych wołać będziemy potężnym głosem u literatów zawodowych. Takim krzykiem były omawiane eliminacje. Nie chodzi o pisanie sztuk, które byłyby tylko tragicznymi, grafomańskimi omyłkami. Zakładając jednak, że obok talentów aktorskich i reżyserskich są bez wątpienia na fabrykach nieujawnione talenty literackie, bez wielkiego ryzyka można rzucić apel o samorodne montowanie widowisk inscenizacyjnych, które jak wspomniany „Kolejarz” przez umiejętne i zręczne powiązanie poezji z konkretnymi danymi (np. wynikami pracy), dalyby nowy świetlicowy typ widowiska. Najważniejszym momentem przy tego rodzaju pracy będzie uniknięcie niebezpieczeństwa, doboru sztuk pod kątem scenicznego wyżywiania się ambitniejszych jednostek na rzecz pracy zespołowej. Widowiska te bowiem zawierając prawie zawsze obok żywego słowa, ele-

menty muzyczne i choreograficzne, wciągają do współpracy masę wykonawców, stając się tym samym (jeśli w dodatku tekst skoryguje specjalista) najdoskonalszą formą pracy świetlicowej. Nie gorsza od sztuk bez ustalonej pozycji będzie ich rola literackiego apostołstwa, jeśli nie zapomnimy, że na eliminacjach w tego rodzaju montażach słyszeliśmy pięknie deklamowane utwory Majakowskiego, Broniewskiego, Tuwima — obok recytacji wyjątków z najznakomitszych piosenek politycznych i społecznych.

Życzyć należy teatrowi związkowemu, aby do roku przyszłego poczynił taki krok naprzód w swej pracy, jak w roku ubiegłym. Uczestnicy i widzowie eliminacji pewni są, że uczyni. Nikt nie zapomni pełnej szlachetności i entuzjazmu atmosfery, w której miało to wielkie święto proletariackiej kultury. — Nikt nie zapomni, że w wielu z zespołów w czołowych rolach występowali bohaterzy codziennej walki o słoneczne jutro: rekordziści współzawodnictwa pracy. — Czyn i słowo... Mimo woli przychodzi na myśl słowa Lenina, że tylko „wulgarny rewolucjonizm nie pojmuje tego, że słowo także jest czynem”.

Słowa padające ze sceny robotniczej, są czynem budującym gmach kultury proletariackiej, a więc narodowej. Jakżeż słuszne są słowa Stefana Czarnowskiego: „Kultura robotnicza — wytwarza się w naszych oczach nawet w kapitalistycznym systemie, choć wbrew niemu. I widoczne są w niej zadatki zarówno wielkiej, jak i człowieczeństwem przenikniętej kultury”.



PROF. FR. BURKIEWICZ: Fragment Skoków (Wilp.) — Rysunek piórklem

Felieton

Poznańscy Filharmonicy w Łagowie

Któregoś dnia o świcie zaroilo się dziwnymi postaciami na pierwszym peronie poznańskiego dworca kolejowego. Wszystko się wyjaśniło, gdy ciekawy obserwator wsunął długi nos do otwartych drzwi wagonu towarowego i ujrzał w jego kacie mnóstwo pulpitów. Cały zespół Filharmonii Poznańskiej wyjeżdża na dwa miesiące pracować nad dwoma jeziorami w otoczeniu bukowych lasów i w cieniu wyniosłej, bazyli zamkowej.

Tadeusz Szeligowski powiada, że to raz pierwszy od czasów Mieszka pierwszego wydarzyło się w dziejach polskiej kultury. Z małym wyjątkiem tegoż pobytu nieistniejącej już dziś „Orkiestry kameralnej” w Gródku. Pomysł takiego gromadnego wyjazdu Filharmoników ze swymi rodzinami ujął się Stanisławowi Wisłockiemu ale techniczne szczegóły opracował i rzec całą do chwalebne skutki doprowadził Piotr Magister Olejniczak, generalny sekretarz Filharmonii. Dobra! sobie ku pomocy Piotra Magistra Borejkę najął kuchmistrza z „Podbiptę”, urządził łapankę na urodziny pannu kelnieki (ohl Longinol) i wyjechał w lipcu do Łagowa urządzić i organizować. Wywieziono całe fury śmieci, ale też gdy Filharmonicy zasiadli do pierwszego śniadania, ujrzeni czystą salę jadalną, pięknie wymyte okna z widokiem na jezioro, schludne stoliki z nakryciami i kwiatami w... słoikach. O wszystkim zapomniał Piotr Pierwszy pomyślał. Była furmanka na dworcu po walizy, byli i harcerze, którzy po śniadaniu rozprawdzili muzyków po przeznaczonych im kwaterach. Koszuli się przez całe popołudnie Filharmonicy i jak mogli — urządzali w tym zachwycającym otoczeniu. Bo też Łagów Lubuski jest niekoronowaną królową Wielkopolski. Jezioro Góreckie „nie płaci ku niej nic” — jakby rzekł góral z Zakopanego. Ale o cudownościach Łagowa innym razem. Dziś tylko o Filharmonii.

Jak wygląda rozkład dnia muzyków? Złotliwi powiadają, że o 7 rano Piotr Pierwszy w cyrkuły trykot odziany — zbiera chętnych i prowadzi im oddechującą gimnastykę. Ja budzę się o 6, ale tylko z powodu jedenastu małych pieseczków, które właśnie zaczynają swój koncert pod oknami mego pokoju. Podniecone codziennymi próbami Filharmonii, także własną „czwartą symfonią” w koju zapamiętałe ćwicza. Od 8 rano jada się śniadanie, złożone z mleka (ile wlezie!), bułek i chleba z masłem, serem, wędliną lub jajkami. O 9 zaczyna się próba w dawnej sali gimnastycznej. Raz Wisłocki, raz Jan Krenc wychodzą na podium i sumiennie przeorywują symfoniczne problemy. Na pulpitych pojawiają się: Liszta „Preludia” i „Mazepa”, Baczewiczówny „Uwertura”, Spisaka „Sulta na orkiestrę smyczkową”, Brahmsa zachwycająca trzecia „Symfonia”, również trzecia Beethovena i czwarta Czajkowskiego. Na razie tylko te utwory. Przed południem gra cały komplet, a po obiedzie (trzy dania! trzy dania!) raz „blacha i drzewo”, raz „smyczki” na przemiany mają swe pensum dwu-

godzinne. W przerwie zjada się dwie buleczki z masłem, wetknięte przez uroczę damy-kelnerki (ohl Barbaro!) w rękę. Kolacja o 18. Tak oto przeplata się gastronomia z symfonią. Dysonansów nie ma.

Spaceruję prześliczną aleją nad brzegiem zachodnim południowego jeziora. Mijam jedną po drugiej maleńkie wille.

Z okien dochodzą dźwięki egzercycji (nie mieszcząc z egzercyzmami!). Tu dmucha w kij, (fletem zwany) mistrz Peresada. Tam tercet puzonów z waltornią ćwiczy chorał Wacława z Szamontu, przeznaczony na „hejnał” z wieży zamkowej. Owdzie znowu młody altowiolista przerywa skrzyneczka trójkami wstępu z „Mazepę”... cały Łagów dźwięczy muzyką, a woda obu cudownie pięknych jezior niesie te nieskoordynowane, ale miłe dla ucha tony na północ i południe. Mieszkańcy stali już się do tej muzyki zdołali przyzwyczaić. Stawa „ciężkiego przemysłu miejskiego” Leon Pinecki staje u progu remontowanego właśnie przedsiębiorstwa i słucha... miejscowy fryzjer (Figaro?) w wolnych chwilach gra na skrzypcach. Przyjeźdni wczasowicze grupują się albo w „Skarbowcu”, albo na zamku. W murach ostatniego szaleją tony fortepianu... to Stanisław Szpinalski harcuje motorem obu wspaniałych rąk po klawiaturze. Przyjechali rozmaitości inni muzycy, zapalczywie malują malarze, są profesorowie: Bossowski i Frankowski z Zonami, jest dr Szałagan, jest pani Hedingerowa... geograf niejaki bada termikę i przeźroczystość jeziora...

A Filharmonicy w wolnych od muzyki chwilach kąpią się, łapiają ryby (zawadzając haczykami o nadbrzeżne olchowe konary), komponują, uprawiają muzykę kameralną, chodzą na grzyby, strugają z patyków ozdobne laski spacerowe, wałkonią się nad jeziorem, uczęszczają do miejscowych kawiarenek, kochają własne, dopiero co poślubione żony, tańczą na dancingu, na próżno rozglądają się dokoła za „Głosem Wielkopolskim” (którego tu poza prenumeratą nawet na lekarstwo nie dostaniesz!)... Takie oto jest ziemnowodne życie poznańskich orkiestrantów. Łatwo zrozumieć, ile zdrowia da tym ludziom dwumiesięczny niemal pobyt w tak uroczej okolicy, w wiewiuc bukowo-dębowych lasów, nad tonią prześlicznych jezior o barwie niespotykanej chyba nigdzie indziej zieleni. Nie tylko opracują dokładnie i sumiennie podstawę programu koncertowego na jesienno-zimowy sezon poznański, ale zżyją się wzajemnie, lepiej poznają swe charaktery, niejednokrotnie może nawet i szczerze się zaprzyjaźnią. Doprawdy: pomysł Wisłockiego, w realne kształty przez Olejniczaka stworzone, subwencjami i serdeczną opieką min. Grosickiego i dra Szałagana do skutku doprowadzony — mieć będzie ważne następstwa kulturalne i psychiczne. Tych 70 osób z toną orkiestrowego zespołu długo jeszcze pamiętać będzie balsamiczne powietrze Łagowa, długo żyć będzie nabytym repertuarem muzycznym.

JERZY KORAB

JAN ROUGE

Czyżby Wojtek?

Wojtek Soblerad stał nad brzegiem rzeki i wpatrywał się w szary, mętny nurt... Wody wciąż przybawało...

Już trzeci z rzędu dzień nad przycupniętymi w dolinie, okolonej wzgórzami, chatkami przewalały się chmuryzka kłębiaste, ponure i złowieszcze, chmurzyska lejące na ziemię strugi dotkliwie chłodnego, grubego deszczu.

Wojtek Soblerad patrzył w wodę ze zgrozą, raz po raz rzucając z ukosa spojrzenie na chatkę Gryżanów, w której przebiegał...

Nie! Odpędzał od siebie te myśli. Nie mógł o niej myśleć teraz, gdy jak te chmury nade wsia przewalała się nad światem brunatna zawierucha-zaraza.

— Nie! — rzucił mocno i splunąłszy aż na sam środek rzeki odszedł wciśnawszy ręce w kieszenie spodni. Szedł z pochyloną głową, mnąc w ustach jakoweś soczyste przekleństwo... Ale — rzeka i tak wylała. Jak zresztą co roku...

Od owej chwili upłynęło lat kilka. Wrócił Wojtek z wojny barczysty, wyrosły, stężały, pełen wiary we własne siły — zmieniony.

Wies tylko trwała niezmienną: te same domki przycupnięte w dolinie, ta sama rzeka i ten sam żywioł — groźba...

Wrócił Wojtek z wojny z wstążeczką orderu na mundurze i z bliźnią na pierś. Rozповідаł Marcysy, Gryżance szeroko o wojnie wielkiej, o dalekim jakimś Lenino, o bojach pod płonącym

miastem zwanym Warszawa, o sztandarach na gruzach Berlina. Ona patrzyła nań szeroko rozwartymi oczyma — dumna i drżąca, a nade wszystko — kochająca...

Rozповідаł Wojtek Marcysy o domach wielkich, szerokich rzekach, które jednak mimo tego nie wylewają, o potężnych maszynach, które wyręczają człowieka...

A Marcysia oczy aż przymykała z wielkiej radości, że to jej Wojtek wszystko to na własne swe oczy widział, że to Wojtek właśnie wie wszystko i ze wszystkim sobie poradzi...

Ale... — woda i tak przysła. Jak zawsze. Przysła skoro tylko pojawiły się na niebie kłębiaste, ciężkie, deszczem ciekące chmurzyska.

Ale woda — jak co roku — zalała chatkę Gryżanów, zalała wieś całą, aż stała się rzecz straszna: woda zabrała Marcysię...

Wojtek patrzył beznadziejnie z dachu swej chaty, jak spływała Gryżanowa strzecha i jąła szybko — zbyt szybko — oddalać się...

Zwarł wtedy dłonie by nie krzyknąć i wciąż patrzył na nienacką w dali strzechę, na której rozpaczliwie miotała się jego Marcysia...

Opadły wody, znikły ciemne, groźne chmury, wróciła i Marcysia wyratowana na którymś tam kilometrze przez ratownicze kolumny. Długo jej nie było, ale wróciła przecież, wymizerowana i wystraszona nieco. Uśmiechała się jednak patrząc na Wojtkę tymi sa-

myimi, pocziwymi, wiernymi brązowymi oczyma...

Wojtek zaś długo, długo jeszcze milczał nim powoli, niezadarnym ruchem przycupnął ją do siebie i ucałował.

— Marcysy — szeptał — to nie może tak być, Marcysy...

— Nie może... — powtórzyła jak echo.

— Musimy pokonać ten żywioł... Musimy zwyciężyć go... — dodał.

— Musimy... — szepnęła nie starając się nawet zrozumieć, co to znaczy. Lecz wkrótce okazało się, że nie tak to łatwo...

Już na drugi dzień ruszył Wojtek na wieś. Najpierw do sołtysa, potem — od chaty do chaty... Wreszcie, pod wieczór przycupnięty, ponury przywlokł się do domu.

— Wojtuś, co ci to? — troskała się Marcysia.

— Ano... nie chcę... — Nie chcę?... — zdziwiła się.

— No... Gładziła go delikatnie po skroniach. On milczał. Wreszcie wyciągnął przed siebie dłoń, zacisnął ją w pięść i warknął:

— Zobaczymy... Brzmiało to groźnie, aż Marcysia przerażona się.

— Wojtku! Na litość boga...

— Nic, nic... Słuchaj... — jął gorączkowo — tu trzeba działać. Natychmiast działać. Na wiosnę znów woda — rozumiesz? Musimy usypać wał, taką groble z ziemi po jednej i po drugiej stronie rzeki...

— My?... Wojtek... — Et, głupiaś... — fuknął. — Słuchaj Marcysy — jął znowu — sprzedaję moją chatę, sprzedaję ziemię.

— Wojtku! — W tym okrzyku brzmiał przestach.

— Sprzedam! Nie chcę robić za darmo — zapłaceł... — krzyczał.

— No... no... dobrze, Wojtuś... a — my?

— My? — powtórzył jakby zdziwiony — cóż my? — podrapał się po głowie. — Dobrze będzie! — krzyknął — nie martw się!

Szło opornie. Nikt nie chciał początkowo chodzić nad rzekę i sypać ziemię na wał.

— Do czarta taka robota — mówili starzy. — Woda tylko raz chluśnie i po wszystkim. Zmyje to jak nic! — prorokowali.

— Frąjer — sypać ziemię... Gruszk! będziesz tu sadył, co? — drwili młodzi. Lecz Wojtek był nieublagany. Uparł się i często sam nawet chwycił za łopatę i taczkę. Sypał, wozł...

— Musimy skończyć nim pierwsze mrozy chwyca — mawiał do Marcysy, tracąc czoło.

Było jednak coraz zimniej. Rano chwyciły przymrozki i ludzie coraz niechętniej przychodzili do roboty.

— Placę wam przecież — próbował perswadować.

Głuche milczenie było całą odpowiedzią. Wreszcie któryś pewnego dnia wycodził:

— Mało...

Wojtkowi opadły ręce. Widział już zwaly wody przewalającej się przez niezabezpieczony półkilometryrowy odcięcie brzegu. Widział wodę znoszącą jego dorobek i majątek zarazem.

Zeby jeszcze trochę... ze pół kilometra...

A jednak pewnego listopadowego dnia, skarpa zaroila się ludźmi.

— Patrzcie wariata... — mówili, ale szli zachęcani łatwością zarobku,

— Ot, głupia... — mówiły baby o Marcysy, gdy dowiedziały się, że Marcysia własne swe wiano odprzedała.

Minęła zima.

Nadszedł dzień szary i ponury — złowieszczy — gdy nade wsia bluzgały deszczem skłębione chmurzyska...

Wojtek stał na wale z Marcysią i patrzył w nurt. Patrzył z niepokojem to na wodę, to na tę, która go wsparła, która weń uwierzyła. A właściwie to patrzył w Marcysinę pełne ufności i wiary, brązowe oczy.

Woda gwałtownie wzbierała. Co przeczniejsi gospodarze wynosili — jak co roku — dobytek na okoliczne wzgórze i czekał wylewu.

Wylew jednak nie nastąpił. A — gdy woda w rzece jeła opadać — zaśmiała się Wojtek donośnie i beztrósko, splunął na sam środek nurtu, chwycił Marcysię pod ramię i szedł z nią poprzez wieś.

Na środku drogi przydybał go sołtys: — Wojtku, Wojtku! — krzyczał.

— A — co? — Wojtek przystanął i zmierzzył starego od stóp do głów.

— Eee... tego... Ocaliłeś nas, com chciał rzec...

— Hm... — Eee, com chciał... a dokąd to idziecie?... — spytał nagle.

— Ot, — machnął Wojtek ręką na drogę — przed siebie. Prosto w świat... Przecież nic tu już nie mamy...

Sołtys podrapał się po głowie: — No bo... eee... com chciał rzec...

Zostali.

A ostatnio słyszałem, że wieś ma już elektrykę i traktory... Czyżby Wojtek?..

Tomasz Treter, Józef Struś

Słusznie się mówi, że historia jest mistrzynią życia. Głębsze wniknięcie w naszą przeszłość, poznanie faktów i różnych postaci historycznych daje badaczowi dużo przeżyć i jest silnym bodźcem w pracy własnej.

Są sylwetki wielkich Polaków już wydobyte z mroków przeszłości przez historyków tak, że zna je prawie każdy Polak. Są inne niemniej wartościowe i bogate o których wiemy bardzo mało albo w ogóle nic. Do takich należą niekiedy słynni poznańscy XV i XVI wieku.

Wiek XV i XVI to okres wielkiej zamocności miasta Poznania. Stan zamocności mieszkańców ilustruje między innymi opinia, że za uboższego był uważany rzemieślnik, jeżeli nie miał naczyni srebrnych, którego żona nie miała przynajmniej jednego czepka perłami wyszywanego. Toteż synowie mieszczan często wyjeżdżali na studia wyższe do Krakowa lub nawet za granicę. Czasem dla zdobycia zawodu, lecz jeszcze częściej dla przetarcia się w świecie. Młodzież wykształcona dochodziła nieraz do wielkich stanowisk, a pracą swoją wślawiła imię Polski w kraju i za granicą.

Rzadko spotykaną wszechstronnością uzdolnień odznaczał się Tomasz Treter.

Treter urodził się w Poznaniu w r. 1550 z ubożej rodziny mieszczańskiej. Kształcił się początkowo w Poznaniu, następnie u jezuitów w Braniewie, później w Rzymie pod opieką kardynała Hozjusza, który widząc wielkie zdolności Tretera stara się go podsycać, kształcić, nimi kierować, wskazując drogi postępowania. Treter jako filolog znał dobrze języki: łaciński, grecki, włoski, francuski, niemiecki, nie tylko je rozumiał ale pisał nimi, był także historykiem, poetą, teologiem i pisarzem ascetycznym, artystą rysownikiem i sztuczniarzem. Treter był aż do śmierci Hozjusza jego pomocnikiem. Sam Hozjusz nazywał go swoją prawą ręką i podporą. Dzięki też Hozjuszowi poznał cały ówczesny wpływowy świat rzymski, a więc dwór papieski, organizację kurialną, patrycjat, humanistów i uczonych. Z uczonymi włoskimi utrzymywał żywe stosunki, Treter jako dyplomata przedsięwziął często podróże z Polski do Rzymu. W Rzymie przebywał bardzo długo, bo aż 25 lat, otaczany

Zofia Stein

Hiob

Świat, na którym zostałem samotny,
Śmieje się wiosną.
Pędem zielonym, wyrastającym z ruin
meego domu.
Wichrom powierzam imiona moich
dzieci.
Wichrom, co przesympują popiół
w opustoszałych obozach
I przynoszą z daleka nasiona ostu
i mleczka.
Dozwolił Pan szatanowi, aby miał
władzę nade mną —
Tak napisano w księgach, a zapomniano
napisać,
Ze kiedy odszedł szatan
Spytałem
Gdzieś wtedy był, Panie?
I nikt mi nie odpowiedział.
Pojąłem wówczas, jak gorzką znał
prawdę
Ci, co sztydziłi ze mnie,
Gdym bronil wiary w Ciebie
Przeciwko Tobie samemu.
Nad samotną ziemią puste niebo —
Przestałem Cię wzywać,
Przestałem Cię szukać wśród gwiazd.

Lecz dzisiaj
Usłyszałem Twój głos w śpiewie
Płaków,
Wracających, by budować gniazda na
wiosnę
I ujrzałem Cię w oczach dzieci — nie
moich już dzieci,
W oczach utnych, obcych jeszcze złu,
W cichym skupieniu kobiet,
Niosących w łonie nowe życie,
Ocalone z wielkiej zagłady.
I może
To nie jest ważne, że pozostałem
samotny,
Skoro z ruin mego domu
Wyrasta zielony pęd.

dużą sympatią Włochów nazywano go nawet „Don di Treteri”. Znajac sztukę malowania i rycia, wyrzył na między wszystkich świętych patronów Polski, dalej wizerunki królów polskich, portrety papieży i cesarzy rzymskich. Największym jego dziełem rytowniczym to „Theatrum virtutum card. Hosii” przedstawiające w stu medallionach życie Hozjusza, każdy medallion opatrzony był wierszowanym komentarzem w formie ody horacjuszowskiej.

Treter wraca do Polski, „wydziera się” Włochom — jak pisze o sobie, w kraju zostaje sekretarzem królowej Anny Jagiellonki.

Prócz spraw dyplomatycznych nie ustają zajmować Tretera sprawy i stosunki naukowe. Kiedy pod koniec pracowitego życia osiada w Polsce pracuje i tu nadal naukowo. Lubił bardzo muzykę, co dnia znużony pracą grywał dla rozrywki.

Najbardziej znanym na terenie miasta Poznania lekarzem w XVI w. był Józef Struś. Urodził się 1510 r. Rodzina Strusia trudniła się podobno grzebiarstwem, które dawało jej znaczne dochody. Józef Struś kształcił się początkowo w Akademii Lubrańskiego. Tu pod kierunkiem Tomasza Bedermana opanował na tyle język łaciński i grecki oraz matematykę, że wpisując się jako 16-letni młodzieniec do Uniwersytetu Krakowskiego był w tych przedmiotach już dość biegłym. W ciągu czterech lat otrzymuje tytuł magistra nauk wyzwolonych. Już jako student Uniwersytetu Krakowskiego wyróżniał się wybitnymi zdolnościami. Staniem Jana Chojęńskiego, pierwszego sekretarza Polski, wyjeżdża Struś 1531 r. na studia medyczne do Padwy. Tu kształcił się przede wszystkim w literaturze greckiej pod sławnym włoskim profesorem Łazarzem Bonamico, oraz w naukach lekarskich. Struś w krótkim czasie wybija się na Uniwersytecie Padewskim jako zdolny lekarz oraz doskonały znawca języka greckiego. Czwartego roku po przybyciu do Padwy mając 25 lat uzyskuje doktorat medycyny i zostaje publicznym profesorem nauk lekarskich w Akademii Padewskiej. Na stanowisku tym pracuje przez lat 10. Zajmuje się przede wszystkim nauką o pulsie i wyklada ją jako profesor. Do zdobycia tej sławy dopomogła mu w dużej mierze doskonała znajomość języka greckiego. Struś przetłumaczył na język łaciński 5 ksiąg Galena Pergmeńczyka lekarza greckiego, który w omawianiu chorób posługiwał się matematyką. Tymczasem to ogłasza drukiem w 1536 r. Sława Strusia jako wybitnego lekarza szybko rozniósł się wśród uczonych uniwersytetów zagranicznych. Dwory panujących ofiarowały mu zaszczytne stanowiska lekarza nadwornego, chciały go w ten sposób pozyskać. Struś jednak mimo widoków zrobienia kariery wraca do ukochanej ziemi rodzinnej, zamieszkuje w Poznaniu, zostaje lekarzem nadwornym Andrzeja Górki, generała wielkopolskiego, swego przyjaciela, kolegi z lat szkolnych. Jednakże sława Strusia jako uczonogo i dobrego lekarza była zbyt wielką by pozwolono mu ograniczyć się do działalności w samym Poznaniu. Wzywają go dwory panujących i tak udrzwają córke Zygmunta Starego Izabelle, żonę króla węgierskiego Jana Zapolyi, ciężko chorego sultana Solimana II, Soliman chce Strusia zatrzymać na swoim dworze, ale polski uczoney, propozycję nie przyjmuje, odmawia także królowi hiszpańskiemu Filipowi II, który chce go zamianować swym przybocznym lekarzem. Król Zygmunt August nie chcąc dopuścić by tej sławy lekarz wyjechał z kraju, powołuje go na swego lekarza nadwornego. Pozostaje więc Struś w Polsce, mieszka stale w Poznaniu. W r. 1568 szerzy się w Poznaniu w strasznych rozmiarach t. zw. „powietrze morowe”, epidemia dotyka także Strusia, który umiera w sile wieku mając lat 58. Zwłoki jego jako zasłużonego poznańczyka złożono w katedrze poznańskiej.

Struś znany jest ogółowi Polaków, mało jednak kto słyszał o sławnym lekarzach poznańczykach, Jakubie i Macieju Grodzkich. Dr Jakub miał sławę lekarza trątnie rozpoznającego choroby, napisał on też bardzo ciekawą rozprawę z zakresu chorób ginekologicznych. Maciej Grodzki uzyskuje tytuł doktora medycyny w Uniwersytecie Bolońskim. Z Bolonii jedzie do Rzymu, musiał tu być znanym lekarzem skoro papież Aleksander VI zwrócił na niego uwagę. Grodzki dostaje się na dwór papieski, co było wielkim wyróżnieniem na owe czasy. W kraju uzyskuje Grodzki zaszczytne stanowiska kanonika gnieźnieńskiego, a później krakowskiego.

(Dokończenie w następnym numerze)

Ignacy Domejko opatrznosciowy mąż republiki chilijskiej

Pomiędzy Mirem, Nowogródkiem, i Nieświeżem, w kraju, środkem którego płynie rzeczka Usza (rym do Wergiliusza w „Panu Tadeuszu”) są Niedźwiadki. Tu urodził się w dniu 22 sierpnia 1801 roku Ignacy Domejko. W najbliższej okolicy tych Niedźwiadków urodził się Mickiewicz, Rejtan, Korsak... Domejko do szkoły chodził w Szczuczynie, gdzie OO. Pijarzy prowadzili wzorową jak na owe czasy uczelnię. Tu spotkał się Domejko z ks. Lwowiczem, znanym z poezji Mickiewicza. Piętnastoletni chłopak wstąpił na uniwersytet wileński, gdzie postanowił studiować na wydziale nauk fizyczno-matematycznych. Pomiędzy kolegami znalazł się rówieśnik niemal Domejki — Chodźko, który później zasłynął swymi pomiarami Kaukazu i wejściem na szczyt biblijnego Araratu. Wykładali wtedy Jan i Jędrzej Śniadeccy (ze Żnina w Wielkopolsce), botaniki uczył ks. Juńdził. Dokoła osoby Jędrzeja Śniadeckiego skupiali się ci, którzy później zasłynęli w dziedzinie nauk ścisłych. Kierownik sławnych „Wiadomości brukowych”, Kazimierz Kontrym zdołał zapówno „Filareto” jak i „Szubrawgów” zgodną ścieżką współpracy dokoła postępu przez te szczęsne lata poprowadzić. Stąd wyszedł na całą Polskę romantyzm, któremu tak szczerze przykładał później Kazimierz z Królówi Brodziński. Ignacy Domejko nie „deklamował”, choć do niego deklamował i Mickiewicz i Zaleski. Domejko po skończeniu dwóch

Przegląd kulturalny

Mieszkańcy Poznania, których lato jeszcze z jego murów nie wygnało — śledzą z zacięciem fazy odbudowy Rynku. O ile każda nowa budowla cieszy i podnieca wiarę w dobrą przyszłość — o tyle rekonstrukcja zabytków napawa dumą z dostojnej i wielkiej przeszłości, którą w pełni uszanowuje obecny reżim. Założeniem Urzędu Konserwatorskiego w tej chwili jest: na podstawie fragmentów architektonicznych, odkrytych skutkiem zawałenia się konstrukcji ostatniej doby starych budynków, przywrócić im formę zabytkową. Zatem Rynek okaże się nam po odbudowie w postaci z przełomu XVIII na XIX wiek. Domy okalające go, podwyższone przez władze niemieckie w początkach XX wieku, obniżą się o jedno piętro, przywracając jednocześnie dawne polskie lasady, których wygląd oddzwiera się ze starych szczytów i obrzędów. Pod tzw. „Domkami Budniczymi” obok Ratusza odkryto renesansowy podcień wsparty na kolumnach z piaskowca o bardzo oryginalnych głowicach. Odkryto już 9 takich kolumn. Odkryty zabytkowy arsenał miejski w kształcie trójnawowej bazyliki ma być odbudowany na cel Muzeum Miejskiego. Także na ten sam cel gotycki budynek Wąg Miejskich. Szczelnie odrutowany rusztowaniem Ratusz — jeden z najpiękniejszych zabytków renesansu — budzi nadzieję okazania się niedługo odświeżonym i wyleczonym z ran.

Niesłychanie ważne i cenne są odkrycia w obrębie katedry na Ostrowiu Tumskim: Ni mniej ni więcej tylko 4 rodzaje budowli nawarstwiały się na tym miejscu, należąca każda do innego stylu i wchłaniająca poprzednią. Na głębokości 5 metrów pod prezbiterium leżą szczątki najdawniejszej w Polsce budowli kamiennej — przedromańskiej z czasów chrztu Polski 965 roku. Na niej już wyrosła monumentalna bazylika romańska w XII wieku, zaś w połowie XIII wieku wtopiła się ona w najwcześniejszy klasycyzyt gotyk, kompozycję katedry francuskiej, niesytą nie rzadkiej w środkowej Europie. Później jeszcze przyszły renesansowe barokowe przeróbki. Obecnie odbudowę się gotycką nawę środkową.

Poza tym odkryto piękną późnomańską kruchtę w kościele św. Małgorzaty, nieznane fragmenty romańskie w kościele św. Jana Jerolimskiego. Praca przy odnowieniu tego kościoła postępuje różno naprzód. Obecnie pokrywa jego wnętrze polichromia prof. St. Tesseyr a cenny tryptyk średniowieczny jest odnawiany w pracowni konserwatorskiej przy Muzeum Wielkopolskim.

Odkryto duże partie architektoniczne pochodzące z XIII wieku w ruinie zamku ks. Przemysława. Poza odsłonięciem wielu nieznanych elementów gotyckich w różnych kościołach i budynkach świeckich Poznania odnaleziono pod warstwami późniejszych przeróbek niezwykle bogatą fasadę barokową kościoła Karmelitów która po całkowitym odsłonięciu i odbudowie należeć będzie do pereł polskiego baroku. Odkryto także dwie nieznane partie murów obronnych miasta.

Budowle monumentalne, świeckie, czy kościelne korzystają z pomocy władz konserwatorskich lub Poznańskiej Dyrekcji Odbudowy wzgl. Zarządu Miejskiego, dlatego praca przy ich odbudowie postępuje stale naprzód. Natomiast zabytkowe domy mieszkalne, prywatne, z powodu braku funduszy w słabym tylko stopniu się odbudowują.

wydziałów uniwersyteckich („przyrody” i „polityki”) przeniósł się do majątku pod Lidą, do Zalesia, w którym począł hodować merynosy, a ludności wiejskiej przychodzić z wydatną pomocą i społecznym zrozumieniem.

Gdy w roku 1823 w Wilnie zaczęła się „filarecka sprawa” Domejce udało się uniknąć przymusowego wygnania. Obowiązany był jednak do „siedzenia” w Zalesiu. Gospodarował i... przekładał „Pieśni Ossyana”. Alieci w roku 1831 stanął do powstania. Po jego upadku, internowany pod Królówcem, otrzymał w 1832 roku pozwolenie na wyjazd ku Dreznu. Zastano w owym mieście mnóstwo Polaków. Mickiewicz właśnie pisał tu „Gaura” a Wincenty Pol kończył notować „Pieśni Janusza”. Podążono dalej, do Paryża. Tu powstawał począł „Pan Tadeusz” — przyjaciele Adama przepisywali mu poszczególne pieśni a Jełowicki drukował je postanowił. Domejko chodził na sorbońskie wykłady i do szkoły górniczej. Po pewnym czasie zajął stanowisko w górnictwie alackim. Ponieważ niezbyt uśmiechała mu się dalsza kariera „praktyka” — omalże nie porzucił Alzacji, by się nadal do ściśle naukowego życia przeprowadzić. Jednak z Chile w Południowej Ameryce nadeszło „zaprotzebowanie” na założyciela szkoły chemiczno-metalurgicznej. Kordyliery chilijskie były nadzwyczaj bogate w kruszce szlachetne, toteż propozycja ta bardzo Domejce przypadła do gustu. W końcu stycznia 1838 roku stanął w mieście Coquimbo i pracę od razu rozpoczął.

Republika chilijska miała wielkie wydatki a nie potrafiła wydobyć z ziemi ukrytych skarbów, by nimi opędzić państwową potrzebę. Domejko umiał przybranej ojczyźnie w tym względzie dopomóc. Na początek musiał się równocześnie zająć i badaniami geologicznymi i wykładami fizyki, chemii, geologii, mineralogii i pisaniem skryptów, instrukcji. On, Polak zapoczątkował naukową literaturę chilijską! Domejko umiał zainteresować swymi dorocznymi sprawozdaniami kapitalistów z Europy, którzy wreszcie zdecydowali się włożyć pieniądze w odległe od Londynu i Paryża kopalnie. Wkłady się opłaciły. Domejko znalazł w chilijskiej ziemi skarby. Niedawno nazwano pewien minerał z tamtych stron „domejkitem”. W Santiago powstał uniwersytet i natychmiast Domejke powołano na katedrę profesora chemii w roku 1846. Co więcej, nie kto inny jak właśnie Domejko wypracował schemat publicznego wychowania w Chile, wzorowany na systemie wychowawczym wileńskim. Wreszcie Domejko zostaje rektorem santiagskiego uniwersytetu. Przez lat szesnaście (!) sprawował te ciężkie ale i zaszczytne obowiązki do roku 1884.

Słynną była jego podróż do Araukonii. Zamierzano „póldzikich” tubylców wyciępić (hitlerowska „roboty”) by ich ziemię sobie pozyskać. Domejko podróżą i jej rezultatem, mianowicie książką opisową dokonał tego, że zaniechano nieludzkich pomysłów i postanowiono cywilizować Araukanów systemem łagodnym. Dzieło to przetłumaczono i na język polski w roku 1859. Dawniej jeszcze Domejko przysłał Mickiewiczowi swój opis cztero-miesięcznej podróży z Paryża do Chile, co ogłoszono w roku 1857 po dwudziestu dwu latach „odległym”.

Pomimo przeszło 45-letniego pobytu poza Polską nigdy nie przestawał myśleć po „naszem”. Nawet notatki podróże i naukowe pisał w języku polskim. Oczywiście pamiętnie korespondował z przyjaciółmi, do których w pierwszym rzędzie zaliczył się Edward Odyniec. Z krakowską Akademią Umiejętności pozostawał w kontakcie i posłał jej do druku naukową rozprawę o geologii Kordyliarów. Mając lat 84 wsiadł na okręt i... pojechał do Polski. Stanął w Warszawie, witany przez setki rodaków, którzy go znali z listów w „Kronice rodzinnej” i z opowiadań, wreszcie z przyjaźni Adama Mickiewicza. Odwiedził córke, kształcących się w Paryżu i Rzymie synów. Odbył wędrowkę do Ziemi Świętej i wreszcie, w roku 1888 wybrał się z powrotem na jakiś czas do Chile, obiecując rodakom, że do nich powróci. Nie wytrzymał wszakże staruszek trudów podróży poprzez cieśninę Magellana i rozchorował się ciężko na pokładzie statku. Musiano go koleją przetransportować do Santiago. Na krótki czas stan zdrowia się poprawił, ale były to nadzieje złudne. W dniu 23 stycznia 1889 roku Ignacy Domejko zamknął oczy na zawsze.

Domejko pozostawił liczną rodzinę. Naturalizowana w Chile, żyje do dnia dzisiejszego. Synowie dziedzićca urząd honorowego konsula polskiego, a choć ostatni prawie zupełnie już językiem Kochanowskiego i Mickiewicza nie włada, to przecież ich dawna Ojczyzna jest tam na pierwszym miejscu wspomnień po dziadku, przyjacielu Adama. Gdy nasi alpinści zdobywali Aconcagua i Mercedario — wnuk Domejki w swym domu w Santiago serdecznie ich przyjmował i gościł. W Chile pamięć o Ignacym Domejce, który zbudował narodowe gospodarstwo państwa nie zaginęła. Trwa nadal.

Dr Jerzy Młodziejowski

Historia, pejzaż, ludzie

Czyż może być przyjemniejsze spędzenie wolnych chwil lata jak na swobodnej wędrowce po kraju, gdzie nieustanna nowość łączy naprzeciw długą drogą, a przynagda czyha na każdym zakręcie? Musiała w moją krew zamieścić się chyba jakaś kropelka krwi średniowiecznych włóczęgów, którzy z takim zamiłowaniem swobody i beztroską snuli się po szerokich gościńcach świata. I nie potrzebuje zapuszczać się daleko, ani trudzić zbytnio. Wierny przyjaciel rower, pomaga mi wydosłać się za mury miasta i już czuję się w kręgu szerokiego horyzontu. Przede mną i wokół leży kraj o płowych ścierunkach, zielonych jeszcze polach buraczanych i ciemniejszych kartofli, a wszędzie jak okiem sięgnąć rozrzucone stogi. Bo też i jest ich w tym roku! Stogów jak gwiazd! A na przystankach i odpoczynkach poznaję ludzi.

Perła powiatu szamotulskiego

Parę kilometrów za Szamotulami wjeżdżam w wioskę schłodną, pięknie zabudowaną. Gdzieniedzie w szeroko otwartych stodołach grają młocarnie. Przed gospodą obszerną, wspartą na słupach, a noszącą nazwę „Zacisze”, przystając. Właściciel p. Bolesław Duchnicki okazuje ogromne zainteresowanie faktem, że współpracuję z Głosem Wielkopolskim, zaprasza do środka i jak z rękawa sypie całą kronikę Szamotulską, bo to wieś nie była jaka i historię swoją ma. Świącicy w r. 1860 sprzedali ją Niemcowi, Niemiec Schuschke sprzedał ją w r. 1904 komisji kolonizacyjnej. Ta sprowadziła tu osadników z Westfalii i Hanoweru. Pobudowali oni piękne zagrody. Polaków we wsi wówczas i aż do r. 1918 nie było. Dopiero po pierwszej wojnie światowej kiedy 60% mieszkańców opłowało na rzecz Niemiec i wyjechało do Rzeszy, na ich miejsce przybyli Polacy. Wieś rozwinęła się jeszcze bardziej — gospodarstwa unowocześniono ale Niemcy knuli. Kilku wyjeżdżało pod pozorem odwiedzenia rodzin na specjalne kursy hitlerowskie do swojej ojczyzny i wykształcili się na przyszłych urzędników na tym terenie. Wojna wypędziła Polaków, nie został z nich nikt na miejscu, a odwrót szczęścia wypędził Niemców — co do jednego, na opróżnionych gospodarstwach osiedli repatrianci z Bugu. Zadowoleni, bo gospodarstwa są piękne, ziemia urodzajna. W weszłym roku wieś zelektryfikowano. P. Duchnicki wylicza mi jednym tchem wszystkie instytucje społeczne wsi, prowadzi do gospodarza przybyłego tu spod Sarn. Na podwórzu gromada wesolych ludzi, w sadzie jabłkami obsypane drzewa, a w trawie bobruje olbrzymia prośna locha i jej okazały małżonek. Tak, to jest rodno i bogato.

— A niech pani nie zapomni napisać — upomina na odjeździe p. Duchnicki — że Polacy zagospodarowali wieś i doprowadzili ją do tego stanu i że starosta nazwał ją „perłą powiatu szamotulskiego”.

Nowoczesny kasztelan

Parę kilometrów dalej, drzemie nad brzegiem jeziora ciche małe miasteczko Ostroróg, w wieku XVI ludna i mocna ostoja dyssydentów posiadających tu kościół i własną drukarnię pod patronatem możnego Jakuba Ostroroga. Ze świetnej przeszłości został tylko kościół na wzgórzu odrestaurowany przez Kwieckich, z pięknie malowanym plafonem i ślady zamku porośłe darnią, tworzące pagórek o kształcie pierścienia, półwyspem wrzynającym się w jezioro. Z drugiej strony łąsy zamkowej stoi murowany domek, maleńki, samotny. Mieszka w nim obecny kasztelan i właściciel całego grodziszca: p. Jan Brzeziński. Ojciec jego kupił na parcelacji w Kwieckich ten kawał ogrodu z zamczyskiem i pan Jan, choć człowiek był wyjątkowo szeroki w świecie osiedlił się z rodziną, pilnując sadu, kozy i jednego cielaka, którym się chwalił. Wokół zamku posiał pszenicę, a na zielonym stoku, chcąc życie na jego bezużytecznej puszcze zaszczyć, osadził pszczeni pień. Niestety jednak, pszczeny nie zaaklimatyzowały się na ruinach. Idziemy w dół ku jezioru. Po czystej jego tali grają nurki, w porzeźnych szuwarach zapadły na dzieńny wypoczynek — kaczk.

Zamiłowanie do przyrody i ciszy leży w ich krwi rodzinnej. Obładowana pysznymi gruszkami wychodzą przez śmieszny irtkę w byle jakim ogrodzeniu z drutu i wyjeżdżam znowu w szerokie pola. Myślę, że optymistyczny zapaleńcy jak Duchnicki i pogodni filozofowie jak Brzeziński rozsiani po naszej prowincji, to ludzie na których spokojnie wspierać się może budowa Polski demokratycznej.

A. ŁĄCZ.

HISTORIA biletu wizytowego

Tak się już wszystko na świecie składa, że każda rzecz mieć musi swój początek — daty jednak, od kiedy zaczęto w Polsce używać biletów wizytowych, nikt jakoś nie zapisał. Wiemy tylko tyle, że potrzebę ich wywołały tłumne zjazdy sejmowe do stolicy.

Za czasów króla Stasia — czasów, które Rzeczypospolitej naszej nadały szczyt Wersalu, używanie kart wizytowych było zjawiskiem powszechnym, tak że nikt ich nie kolekcjonował. Wobec tego te kilka biletów wizytowych, które się z okresu sejmów czteroletniego zachowały i które były własnością encyklopedysty, Zygmunta Glogera, pilnego zbieracza wszelkich zabytków naszej kultury — są wielką rzadkością.

Jeśli chodzi o ogólną charakterystykę zewnętrzną, tych „XVIII-wiecznych kartelusków” to były one szersze od obecnych, wykonane na grubym, białym, połyskującym prążkowym papierze, na którym pisać można było atramentem, pospolicie wówczas inkaustem zwanym.

Pierwszy z biletów, posiada drukowany kursywą napis „Łoś Wojewoda Pomorski z Synowcem” — mowa tu o Feliksie Łoścu, znanym z czasów Stanisławowskich, zbieraczu numizmatyki (starych monet). Bilet otacza stylowa (boć przecież wszystko było stylowe, piękne w owych czasach na dworze największego wytwornisza Europy) błękitna ramka, utworzona z ozdób architektonicznych i róż. Ramkę tę odbijano na cienkiej blasce, podczas gdy ozdoby na innych biletach są drzeworytami — czyli, że wzór ich wyryto w oryginalne na drzewie.

Drugi, w eliptycznym, również błękitnym, wawrzynowym wieńcu, z takąż kokardą nosi własnoręczny podpis Suchorzewskiego pośła w-twa kaliskiego, znanego mówcy na sejmie czteroletnim — przeciwnika ustawy majowej.

Błękitną obwódkę (ulubiony kolor tych czasów, tak jak biały będzie uosobieniem epoki romantycznej) z szlachkiem z kwiatów i liści, mieć będzie bilet siedziogo Nosarzewskiego, pośła na sejm. Bilet pisany pięknym staropolskim charakterem, a atrament, jak stwierdził ich właściciel, zachował tak piękną czarność, że Glogerowi nasuwa się pytanie, jak będą dzisiejsze nasze atramenty wyglądały za lat sto.

Czwarty i ostatni z biletów należy do kobiety. Na kwadratowym prawie oście, znajdujemy drukowane nazwisko „Krasicka, posłowa Czernichowska”.

Prócz wyżej podanych wzorów, oryginalne też były bilety z suchymi wyciskami, bez kolorowych szlachów, na jednym np. widzimy orła z rozwiniętymi skrzydłami, który trzyma w szponach rozwianą wstęgę, a na niej wypisane jest nazwisko właściciela.

Bilet Tadeusza Kościuszki, ozdobił jego szychowaną armaturą, posiadał jego podpis własnoręczny i również był w posiadaniu encyklopedysty.

W związku z biletami wizytowymi, warto przypomnieć dwie autentyczne anegdoty, mające miejsce na terenie naszego miasta.

Jeden z eleganckich oficerów kawalerii, który pragnął nawiązać kontakt towarzyski z wieloma damami, a któremu rzecz prosta nie chciało się oblatywać wszystkich nieznaną po części zresztą mu bliżej ich właścicielką, polecił swemu ordynansowi, bardzo pocziwemu zresztą Poleszukowi, aby według podanej mu listy z nazwiskami, wrzucił jego karty pod danym adresem. Ponieważ porucznik X. często grywał w bridge'a, inaczej powiedziałby tego rznął w karty, pocziwemu lwanku, wiele się nie zastanawiając wziął karty do gry (na obok leżące pudełko z kartami: wizytowymi ani nie spojrzawszy) i skrupulatnie wrzucił do skrzynek listowych, dzwoniąc przy tym potężnie. Gdy wieczorem zziął się wrócił do domu, na pytanie porucznika, czy wszystkich obszedł, odparł z radością, że mu tylko dama czerwieni i ósemka pik została!

Drugi, równie komiczny wypadek zdarzył się panu S. — świeżo upieczonemu studentowi, od którego na ulicy Matejki w godzinach południowych (do szkoły należało około 12 wizyty składać) w żaden sposób nie chciano biletu wizytowego przyjąć, a nadto dość energicznie wyproszone go za drzwi.

Rzecz miała się następująco: właściciele mieszkania mieli niedawno przyjeżdżając z głębokiej prowincji, nieśmiała i niezbyt mądrą pomocnicę domową — a było to w okresie kryzysu, kiedy wiele osób z inteligencji było bez pracy. Chwytało się więc wszelkich sposobów zarobkowania — do najłatwiejszych rzecz prosta należało przedstawicielstwo. Przyszedł więc kilka dni przedtem, jakiś zredukowany in-

JANUSZ MINKIEWICZ

Tydzień Obywatelski

W poniedziałek nie mam czasu, Bo wypada „Święto Lasu”.

Wtorek!.. Muszę mknąć na błonia, By wziąć udział w „Święcie konia”.

Środę całą mam zajęta, Bo ten dzień, to „Dziecka Święto”.

W czwartek, zapłaciwszy składki, Idę święcić „Święto Matki”.

Piątek także nie wyjątek: Kończą się „Dni Morza” w piątek. A sobota! Tej soboty Wezmę się już do roboty,

Drząc, by tego dnia rodacy Nie zrobili „Święta Pracy”.

P. S.
Że w niedzielę moc czasu mam, Zastanowię się, podumam, Czy to trochę nie za wcześnie Tak świętować, jak przed wrześniem? Tak znów stawać, ciągle frontem? Czy się znów nie kryje błąd w tem?..

I do hasel modnych teraz Chciałbym włączyć hasło swe raz, W którym nikt nie znajdzie ujmy: „Więcej róbmy, mniej świętujmy!..

(„Kazania i skargi”)

Pełnym gazem

Na samochodach tak się znam, jak na gwiazdach: nie odróżniam wielkiego wozu... od Wielkiej Niedźwiedzicy. Tak się natomiast składa, że stale używam środka lokomocji. Co prawda w tej materii ostatnio bardzo się podciągnąłem. Odróżniam już Studebедера od polewaczki ulicznej typu ZOM (Zakład Oczyszczania Miasta). Obszerna terminologia techniczna również nie jest mi obca. Zapęd przedni w samochodzie potrzebny jest do jazdy w przód, tylny natomiast do posuwania się w tył. Z niektórymi tylko zawłóściami nie mogę sobie dać rady. Kiedyś, pamiętam, jechałem piękną drogą. Mój kierowca milcząco prowadził

automobil marki Deczkawka (z powodu właściwości motoru). Milczeliśmy obaj. Nagle stop... „Co jest — pytam. Wyśiadł, obejrzał wóz i rzekł: pana „Przed wszystkim nie pana tylko obywatela a po drugie, co obywatel chce” — zapytałem. Że pana — powiedział — kicha nawaliła. Zwarował czy co — pomyślałem — jaka kicha? Zabrałem przecież w drogę jedzenie i czarną kieszkę też. Wyśiadłem więc z wozu i zrozumiałem: opona pękła. Ale mój szofer twierdził, że nie opona tylko dętka. Zaraz to sobie pomyślałem — rzekłem — widziałem już w garażu, że obywatel zanadto napompował tę dętkę”. Spojrzał na mnie z politowaniem. Ciekaw jestem dlaczego? Ale zabrał się do roboty.

Tymczasem od strony lasu zbliżał się drogą jakiś samochód. Mignął koło nas i poszedł. Szkoda — mruknął mój szofer. „Pewno — odpowiedziałem — szkoda czasu”. „Ale nie o to chodzi — powiedział — ten wóz, co poszedł do „Skoda”. Mnie nie — odrzekłem. To jest zresztą skądinąd bardzo dowcipny facet ten mój kierowca... Jakiśmy ruszyli w dalszą drogę to opowiedział mi podobno, jak mówił stary dowcip. Otóż Ford, ten wielki samochodziarz przyszedł do papieża z grubszą forszą i propozycją, żeby zmienił Fiat voluntas tua na Ford voluntas tua. Śmiałem się z grzeczności a szofer wył przy kierowcy. Ale z czego, dalszóg pytam, z czego?

Pojedziemy teraz pełnym gazem — powiedział rozweselony niezrozumiałym dla mnie dowcipem. „Jakto — zawolałem — to po co kupowaliśmy benzynę, skoro możecie jechać gazem; co to za nieoszczędność! Powiedział tylko: szkoda słów i ruszył z całą szybkością. Lecz po chwili znowu zatrzymał samochód. Świeca powiedział — i nic. „Mam zapadki — odpowiedziałem — może wystarczą, co?” W jego spojrzeniu było coś, co jest w ślepiach boa — dusiciela. Przeszkodę naprawił szybko i jechał. „Czy pan wie, że Kiepara miał 100-konnego Mercedesa?” zaindugował mnie. „Wiem, mówię, 3 fury siana dziennie zjadają te konie; sam Kiepara mi to mówił” — odpowiedziałem dzielnie. Nie wiem dlaczego powiedział na to: psiarew!

I znowu zatrzymał samochód. „Ciekawy jestem co tam jest w baku” — rzekł do siebie. „Nie byłem tam jeszcze — odpowiedziałem — ale to ciekawy i bardzo bogaty kraj. W ogóle Baku to kraj naftowych szybów”. Z jego spojrzenia wiało mrozem. Wreszcie dotarliśmy do celu podróży. Tam oświadczył mi kierowca, że z powrotnej drogi samochodem nic nie będzie. „Jest w proszku cały tachometr — oświadczył — naprawa potrwa co najmniej tydzień. Musi pan wrócić koleją. Ja tu zostanę”.

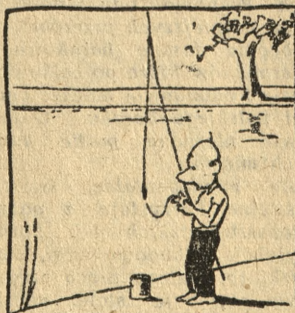
Tak też zrobiłem. Dziwi mnie tylko, że rano dnia następnego spoikałem go znowu w barze. Na pytanie, jak to możliwe — nie odpowiedział, t. h. n.

Odpowiedź

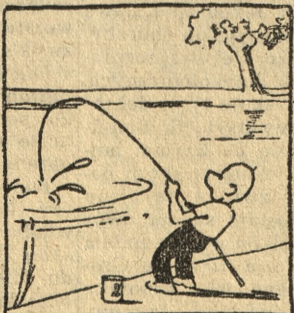
Napoleon I oblegając Sewillę, powiedział do gubernatora tego miasta: — Jeśli mi się Sewilla nie podda do trzech dni, zgolę całe miasto z powierzchni ziemi.

— Nie uczynisz tego, Najjaśniejszy Panie — odparł gubernator — bo nie zechcesz dodać do tytułów Cesarza Francji, króla Włoch itd. tytułu „cyrylika sewillskiego”.

I to się zdarza w życiu wędkarza



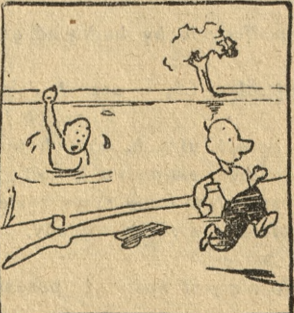
Pantaleon ma dziś chętkę Złović kilka ryb na wędkę.



O, chwyciła już nareszcie! Ciężka, że aż kijek treszczy.



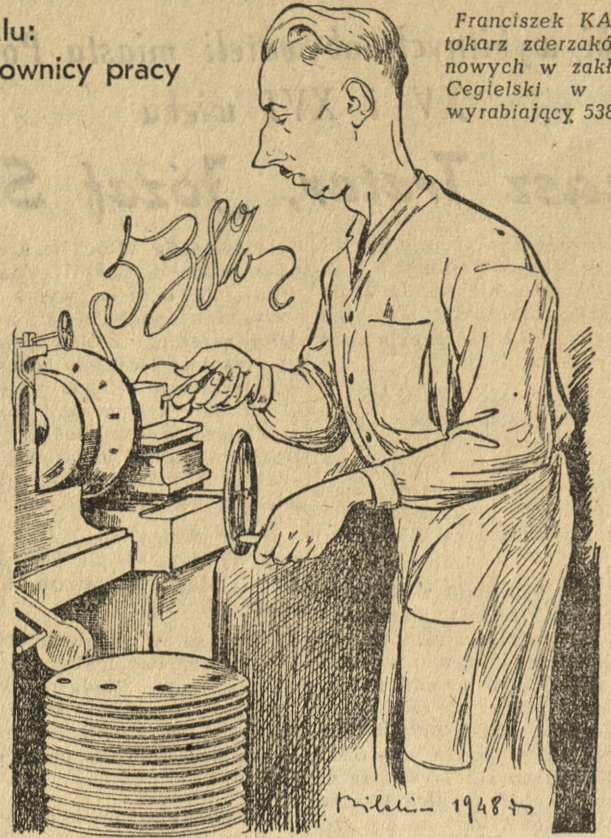
Sliwka, miast wielkiego pstraga, Kąpielówki wnet wyciąga.



Jeśli nie chcesz, Sliwko Dostać w skórkę, dalej w nogi!

Z teki karykaturzysty

Z cyklu: Przdownicy pracy



Franciszek KASPRZAK tokarz zderzaków wagonowych w zakładach H. Cegielski w Poznaniu, wyrabiający 538% normy

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

Wróżby

Plakat na murze. Popatrz i czytaj! Tu się ogłasza słynny wróżbita. Głupców jest sporo, więc dla wróżbity Polów obfity i znakomity. Bardzo wrażliwy na reklam chwyty, Zgłosił się złodziej też do wróżbity — Patrzy wróżbita na rękę mistrza, Która kieszenie zwinnie oczyszcza, I linie życia uważnie bada, Wróży i gada, i przepowiada. Wszystko przewidział bardzo dokładnie, Lecz nie przewidział, że go okradnie. Złodziej skradł zegar mu w poczekalni I z nim pod pachą — myk! — triumfalnie. Wierz tu wróżbitcie — o naiwności! — Gdy nawet własnej nie za przyszłości.



(Regards)

Zgubione dziecko

Prasę kanadyjską obiegła wiadomość o tragikomycznym zajściu, które wydarzyło się na stacji w Winnipeg. Pociąg miał już odjeżdżać, gdy wyskoczyła z niego wieśniaczka i poczęła zaklinać kierownika ruchu by wstrzymał odjazd, jej bowiem zginęło dziecko.

Zaplakana matka opowiadała, że dziecko jej wyskoczyło z wagonu i jęszcze nie powróciło. Była tak zrozpaczona, że cała służba kolejowa i sporo pasażerów wraz z dyżurnym policjantem jęło przeszukiwać stację i okolice. Gdy jednak poszukiwania przeciągały się zbyt długo, zawiadawca stacji, nie mogąc dłużej zwlekać, nakazał, mimo zaklinań nieszczęśliwej matki, wypuścić pociąg. Już miano dać znak odjazdu, gdy do łkającej kobiety podszedł jakiś mężczyzna, mówiąc: — Niechże się mama uspokoi, przecież przyszedłem na czas.

Zwrócono uwagę na przybysza, nie wiedząc, kto to taki. Pierwszy zorientował się policjant i zapytał: — A ile lat ma dziecko pani? — Trzydzieści pięć — odpowiedziała uszczęśliwiona matka, co pobudziło wszystkich do gwałtownego śmiechu. Zmartwienie biednej kobiety, a potem jej radość były tak szczere, że policja nie miała sumienia, by pociągnąć ją do odpowiedzialności za wstrzymanie pociągu.

Gdzie ciebie...

W roku 1893 Franciszek Smolka, znakomity polityk polski, złożył przewodnictwo parlamentu austriackiego, któremu przewodniczył od roku 1879 jako wiceprezydent, od roku 1881 zaś, jako prezydent. Na bankiecie wydanym na cześć ustępującego Smolki, Wojciech Zdunowski wznosił następujący toast: „Jak wierzyli Grecy starożytni, gdy rozdził się poeta, muza całowała go w usta, gdy przychodził na świat malarz, muza całowała jego oczy, przyszlennu muzykowi składała pocałunek na uchu. Pytam, jak było z tobą, kochany Smolko, któryś siedział przez tyle lat na toleto prezenta, gdzież ciebie jako noworodka całowała muza?”

Przyjemności radia



The Saturday Evening Post

Nie pomogło

W archiwach miejskich Londynu jest edykt królowej Elżbiety z roku 1580, zakazujący budowy nowych domów w Londynie ze względu na to „że miasto staje się zbyt wielkie”.